ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Marca 1892. Nr. 5.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

MOJA CHATKA.

Chatka moja mała,
Lecz czyściutka, biała —
W niej też słodko, mile,
Płyną w pracy chwile.

Wszędzie czystość widzę,
Bo się brudem brzydzę,
Porządek i praca
Życie mi ozłaca.

Moja chatka droga,
W niej też chwalę Boga,
Skromne moje życie,
Więc sił mam obficie.

Dziatki moje lube
Wychowam na chlubę,
Ojczyzny i swoję…
Bo się Boga boję.

Potrzeby się mnożą,
Lecz z pomocą Bożą,
Choć przy pracy, trudzie,
Szczęśliwiśmy ludzie.

Nie wiem, jak gdzie, komu,
Mnie najlepiej w domu,
Tu mi szczęście rośnie,
Jako kwiat we wiośnie.

Chociaż przyjdzie troska,
I w tem wola Boska,
Boć człowiek niekiedy
Musi zaznać biedy.

Nie wiem, czy na świecie
Człowieka znajdziecie,
By nie znał zmartwienia,
Troski lub cierpienia.

W mojej lubej chacie,
Zawsze znajdziesz, bracie,
Serdeczną gościnę,
I wesołą minę.

Jest chleb, trochę miodu,
U mnie nie ma głodu,
Że nie marnię grosze,
Mam wszystko potrosze.

Nasze niebo jasne,
I zagony własne,
Najmilsze i drogie,
Dają życie błogie.

Gdy mam chatkę swoję,
Biedy się nie boję,
Mam swój zagon drogi,
Nie jestem ubogi!

Franciszek Marzec.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Marszałek Dobek nie zaraz przypuścił przed siebie Jaksę, bo właśnie miał posłuchanie u księżnej. Gdy wreszcie stanął przed Jaksą, to jakoś z góry na niego spozierał, ale wnet zmienił się i młodemu na ławie miejsce ukazawszy, począł dość uprzejmą rozmowę.

Jaksa o młodości swej mu rozpowiedziawszy, śmiałością swą widocznie go sobie zjednał. Począł tedy Dobek prawić nie jasno coś, że wkrótce Dobek ludzi rycerskich bardzo potrzebować może, zatem i Jaksie miejsce w wojsku poczestne łatwo się znajdzie...

Na zapytanie, jakaby wojna była na widoku, Dobek się uśmiechnął, bródkę gładząc i zagadkowo tylko mruknął, że to się niebawem okaże.

Potem zalecał wierność księciu i sypał obietnicami nagród wielkich, jakich się spodziewać od niego było można; nareszcie pytać począł, co słychać gdzie było od Sandomierza, Gniezna i Płocka, a innych ziem. Odparł Jaksa, że mało co o tem wiedzieć może, bo długo doma nie był, a ludzi wielu nie widział. Badał go tak Marszałek czas nie mały, chcąc zeń coś dobyć, aż o Wrocław i ks. Janika zaczepiwszy, ożywił się jeszcze mocniej, gdy usłyszał, że Biskup Jaksy był stryjem.

— Jeżeliście u pana stryja waszego bywali, — rzekł — to i pana Petrka widzieliście?

Rumieniec mu na twarz wystąpił, a choć się hamował, widać było, że samo Petrka wspomnienie, gniew w nim wielki obudziło.

— Małom co tam widział, bom i niedługo był — rzekł Jaksa.

— To szkoda! — zawołał szydersko Dobek — jest się tam przecie czemu przypatrzeć! Petrek nie lada panek, z książęty się mierzy i na równi stać gotów. Napasł się dobrze za nieboszczyka króla, ledwie dysze. Sam w zszarzanej sukni chodzi, a sługi złotogłowem, okrywa i dwór trzyma jak książę udzielny... Warto było przypatrzeć się mu, póki jeszcze tem jest, czem go Krzywousty zrobił, a co długo nie potrwa!

Na te zjadliwe i pełne nienawiści wyrazy, Jaksa nie odpowiedział wcale, słuchać mu ich było przykro. Marszałek raz wpadłszy na to pohamować się nie mógł i sierdził coraz mocniej, wybuchał, szydził niemiłosiernie. Rozgadał się tak nad miarę.

— Dużo u nas panów i panków, — mówił, — na tych ziemiach, które księciu naszemu, jako starszemu wszystkie należą, dużo narodziło się wszelakich... Godziłoby się uczynić trochę ładu, aby znali, kto tu panem.

Jaksa patrzał tylko i słuchał, a milczenie biorąc za potakiwanie, Marszałek brnął coraz śmielej.

— Strach co panów mamy, — ciągnął dalej. — Oprócz świeckich toć i Biskupi na równi stoją z świeckimi książęty! Książę Jakób ze Żnina na Gnieźnie właśnie tak nad nimi głową, jak książę krakowski nad braćmi! Niewiedzieć kogo słuchać i kłaniać się komu!

Ruszył ramionami.

— Nasz pan w tym tłumie, choć najwyższym powinien być, ledwie go widać, a dotąd i mało o nim słychać było!

— Wszyscy mu jednak należnej czci nie odmawiają — szepnął Jaksa.

Bystro nań spojrzał Dobek.

— Nie bójcie się — zawołał, — nie da on sobie jej odjąć! Dobry jest i powolny do zbytku, ale z tego snu, gdy się przebudzi, potrafi nakazać posłuszeństwo!... I czas też aby okazał, że dba o władzę swoją, czas! czas!

Nie dobywszy więcej nic z Jaksy Dobek popatrzał mu w trwarz, jakby w niej chciał myśl wyczytać i zakończył.

— Wy służby potrzebujecie u książęcia, a nam ludzi brak, więc łatwa zgoda. Zbierzcie ludzi swych, zgromadź-

cie, uzbrójcie, aby na zawołanie stawali, to będzie służba wasza. Starajcie się być w pogotowiu, nagroda nie minie...

Jaksa wysłuchawszy go, pokłonił się i wyszedł znużony.

IV.

Jaksa nasłuchawszy się, co tu w Krakowie knowano, miał już wprost na Szląsk powracać, gdy wtem przybył do Krakowa palatyn Wszebór, którego już dwa razy do księżnej wołano, aby sobie jego pomoc zapewnić w tem, na co się zanosiło.

Ów Wszebór był druhem ojca Jaksy; młody Jaksa tedy poszedł mu się pokłonić, z czego starzec bardzo się ucieszył. Zaczęli prawić a Jaksa nie taił się z tem, co widział i co słyszał.

— Nie inaczej tylko cię tu Opatrzność Boża zesłała w porę — rzekł. — Oko masz dobre, węch łowiecki, wzrok co zwierza pod kępiną wypatrzy. Tak ci ono jest, jak mówisz, ale połowę tylko wiesz, którą odgadłeś sam, gdy ja całą biedę na ramionach dźwigam. Miałem ja słać z oznajmieniem do Petrka, jedź ty, mów mu, że tu gore. Postanowiła już księżna, dał się namówić nasz pan, że na braci ruszy, królem być chce. My na to pozwolić nie możemy.

Petrek miał sobie zleconą ostatnią wolę króla i opiekę nad książęty, szanować go muszą, niech on tu zjedzie, niech prawdę rzecze i zagrozi, my go poprzemy, ja, Arcybiskup Gnieźnieński i Biskupi wszyscy. Krwi własnej rozlewać nie chcemy, dobrze nam tak jak jest i jak nieboszczyk mieć chciał. Hamować trzeba księcia. Petrek znaczenie ma i siłę, niech przemówi za nas, my mu zawtórujemy wszyscy...

Niechaj zjedzie co rychlej, a choćby pogrozi, ulękną się może póki czas.

— Jedźcie — powtórzył Wszebór, — odemnie w poselstwie, zaklinajcie go i proście niechaj wystąpi. Myślę, że go o to zbytnio nękać nie będzie potrzeba. Nie uda się, to wojna bratnia za pasem. Księżna zła baba jest, Dobek mściwy i chciwy nią włada. Jeśli ich nie nastraszy Petrek, to nikt.

— A wy, miłościwy panie! — zapytał Jaksa.

— Jam swoje zrobił, — odparł Palatyn, pójdzie i moje na wagę, ale co jeden, to nie dwu... Ja prawdy nie zataję, niech on też ją powie głośno...

I naglił powtarzając »jedźcie, jedźcie!«

Tak odprawiony Jaksa ledwie do swej gospody powróciwszy, konie siodłać kazał, paliła go pilna droga. Nie miał już czasu ani Helmuta żegnać, ani na Zamek iść, puścił się wraz z ludźmi gościńcem wielkim do Wrocławia.

Była północ, gdy pod dwór pana Petrka podjechał Jaksa. Choć o tak góźnej godzinie, u wrót tam straż była, która nigdy nie zasypiała i pilnowała parkanów dniem i nocą. Gdy do zapartej bramy zakołatano, znaleźli się ludzie w pogotowiu, i starszy oznajmił, że Petrka budzić nie będzie potrzeba, bo się jeszcze u niego świeciło.

Wnet kazał się do niego prowadzić poseł, nie chcąc tracić ani chwili.

Petrek w swoich izbach własnych, jak prosta chata urządzonych, na pół rozdziany, podobny do starego chłopa, który tylko co robotę porzucił, w koszuli grubej i ladajakim przyodziewku, siedział na ławie.

— A was tu co o takiej porze przyniosło? — zawołał Jaksę poznając.

— Pilna sprawa, bez której bym się wam spoczynku kłócić nie ważył — odparł przybyły. — Takiem polecenie miał od Palatyna Wszebora, od biskupa Ruperta i od rozumu własnego, aby was co rychlej zawiadomić, co się dzieje w Krakowie.

Wskazał mu Petrek miejsce na ławie.

— Siadaj, — rzekł — boś zmęczony, wydobądź, co masz za nadrą, słucham.

— Miłościwy panie, — począł Jaksa — jawna już, że księżna Agnieszka do wojny Władysława podżegła. Z Rusią przymierze uczynił, posiłki mu ciągną. Nie tajna rzecz, że braci z dzielnic chce wyrzucić precz, nie własną mocą, ale z Rusią i Połowcami. Sprawa to dumnej siostry Cesarskiej, która koniecznie chce królować. Wszebor nagli i żąda,

abyście jechali wnet, dla upamiętania księcia, dla zagrożenia mu, że się przeciw niego i rycerstwo i duchowieństwo obróci. Palatynowie, Biskupi, wszyscy pójdą przeciw niemu.

— Jeśli was nie usłucha, to nikogo, jeśli wy prawdy mu nie powiecie, to nikt.

— Wiele chcą odemnie! — zawołał Petrek.

— Wiele możecie! — rzekł Jaksa.

— Na nic się nie zda wszystko — odparł Petrek. — Z Władysławem mówić dobrzeby było, gdyby on sam był, ale za nim Agnieszka stoi, co ja naprawię, ona popsuje. Księżna słuchać mnie nie zechce. Dobek sam rządzi a z tym, ja gadać nawet nie chcę. Nikczemne stworzenie jest.

— Nieboszczyk król, mówią, zwierzył wam nad młodszemi dziećmi opiekę — rzekł Jaksa. — Macie prawo słowo rzec.

— Mam i rzeknę je, ale na wiatr ono pójdzie i przepadnie marnie — odezwał się Petrek.

Wstał z ławy, ręce na piersi krzyżując.

— Pojadę — dodał — powiem, com powinien, jak powinienem, w oczy wszystkim, księciu, księżnej, zausznikom.

Zadumany przeszedł się po izbie.

— Choćby głowę przyszło dać! — dodał cicho.

— Palatyn i Biskup, i wszyscy proszą was, miłościwy panie, o pośpiech. Czas nagli, nie uczynicie, to ino patrzeć jak buchnie.

— Ja się też ociągać nie myślę — rzekł Petrek spokojnie — ruszę jutro...

— A ty, co robisz z sobą? — dodał zwracając się do Jaksy.

— Do czynienia nie mam nic pilnego — rzekł Marek, — chętnie zrobię, co każecie.

— Nie strachasz się jechać ze mną napowrót — spytał Petrek — Syna nie chcę brać, za młody jest, albo i zapieszczony, wy macie doświadczenie i męztwo, kto wie, co nas tam czeka! Zdalibyście się mi!

Jaksa się pokłonił.

— Jadę z wami, — dodał — bardzo rad, że posłużyć mogę.

Klapnął go poufale po ramieniu Petrek.

— Światosława znasz — dodał poufale — chłopię to moje serdeczne, jedyne, dobre, gotowe za mną choć w piekło, ale dziecię to jeszcze, umysłu nie ma rzeźwego, na łzy mu się rychło zbiera, miękki, jest bo go za długo niewiasty trzymały, tyś krzepki, zastąpisz mi jego.

I popatrzywszy nań długo Petrek objął go i uścisnął. Bodaj mój tak wyrósł jak ty!

Jaksa poczuł się dumny i na sercu było mu błogo...

— Pójdę z tobą miły panie, na kraj świata, — zawołał — lepszego przewodnika mieć nie mogę. Za cześć i miłość dziękuję wam.

— No, a teraz — dodał weselej Petrek — idź na nocleg do Światosława, jutro w drogę...

Gdy dobry dzień się zrobił, w dziedzińcach żwawo się gotowano do drogi, rozkazy były wydane, sto kilkadziesiąt, co najprzedniejszych koni towarzyszyć miało Petrkowi.

Ten co w domu jak prosty kmieć chadzać lubił w zgrzebnej koszuli, co pił najmilej z kubków glinianych i z drzewa, choć miał złote, co na dębowej ławie nie zasłanej rad siedział i legiwał; którego w domu za pana i Palatyna niktby był nie poznał; gdy mu się trzeba było okazać, cale innym się stawał. Choć ze wstrętem brał na się pański strój, wiódł dwór pański za sobą i przeistaczał się w możnego władykę.

Na dwór książęcy jechać musiał tak, aby widziano kim był, więc co najlepszego było w koniach, siądzeniach, rzędach, gotowano na tę drogę. Od rana dobywano ze skarbców przybory, opatrywano wozy, uprzęże i ludzi. Ci iść mieli pod znakiem pańskim z chorągwią, z dowódzcą swoim.

Marszałek prowadził dwór zbrojny jak jeden człowiek. Na każdym pancerz

w łuki szyty, kolczugi, tarcze, miecze, łuki, barwa jedna.

Jak dzień, widać już było w podwórcach konie pookrywane, dziesiętników nawołujących lud do liczby, opatrujących odzież i zbroję. Sam Petrek wychodził oglądać na ostatku.

W kilka chwil potem orszak cały ruszył ku Krakowu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PAWEŁ STALMACH.

(Z obrazkiem.)

Paweł Stalmach urodził się 13-go Sierpnia 1824 we wsi Bożanowicach pod Cieszynem na Szląsku austryackim, z ojca protestanta, niezbyt zamożnego włościanina. Pierwsze nauki pobierał w domu rodzicielskim, później oddano go do szkoły ewangielickiej w Cieszynie, gdzie wówczas, choć mało, przecież po polsku uczono. Gdy z tej szkoły przeszedł do gimnazyum cieszyńskiego, nie słyszał tamże ani słowa polskiego. Ukończywszy piątą klasę, zaczął Stalmach myśleć nad tem, jaki zawód obraćby mu trzeba i zdawało mu się, że najlepiej uczyni, wybrawszy teologią to jest, gdy będzie się kształcił na pastora.

Zaraz tedy wziął się do czytywania książek teologicznych. Wtedy to jednak nie uszło jego uwagi, że chcąc się stać dobrym pastorem wiernych swoich, którzy jakkolwiek protestantami, lecz Polakami byli i tylko polską mową mówili, musi też umieć dobrze po polsku, gdyż inaczej jakżeby mógł być dobrym pasterzem?

W sumieniu swojem tedy uznał za pierwszy swój obowiązek, nauczyć się dobrze po polsku, a wiedząc, że i inni rodacy jego, co się z nim razem w szkołach uczyli, także później pośród ludu swego polskiego działać zamierzają, nakłonił ich i zachęcił, ażeby i oni do nauki polskiego języka się przykładali.

Wnet zrobiło się żywo między tą zacną młodzieżą, jakby nowy duch wstąpił w nią. Rzucili się wszyscy do czytania polskich książek i pism, a im więcej się w nie wczytywali, tem większej miłości do swej mowy ojczystej nabywali, bo przekonywali się, że ta ich ojczysta mowa cudna i hańbą jest, być z polskiego rodu, a po polsku nie umieć lub mowy polskiej się wstydzić.

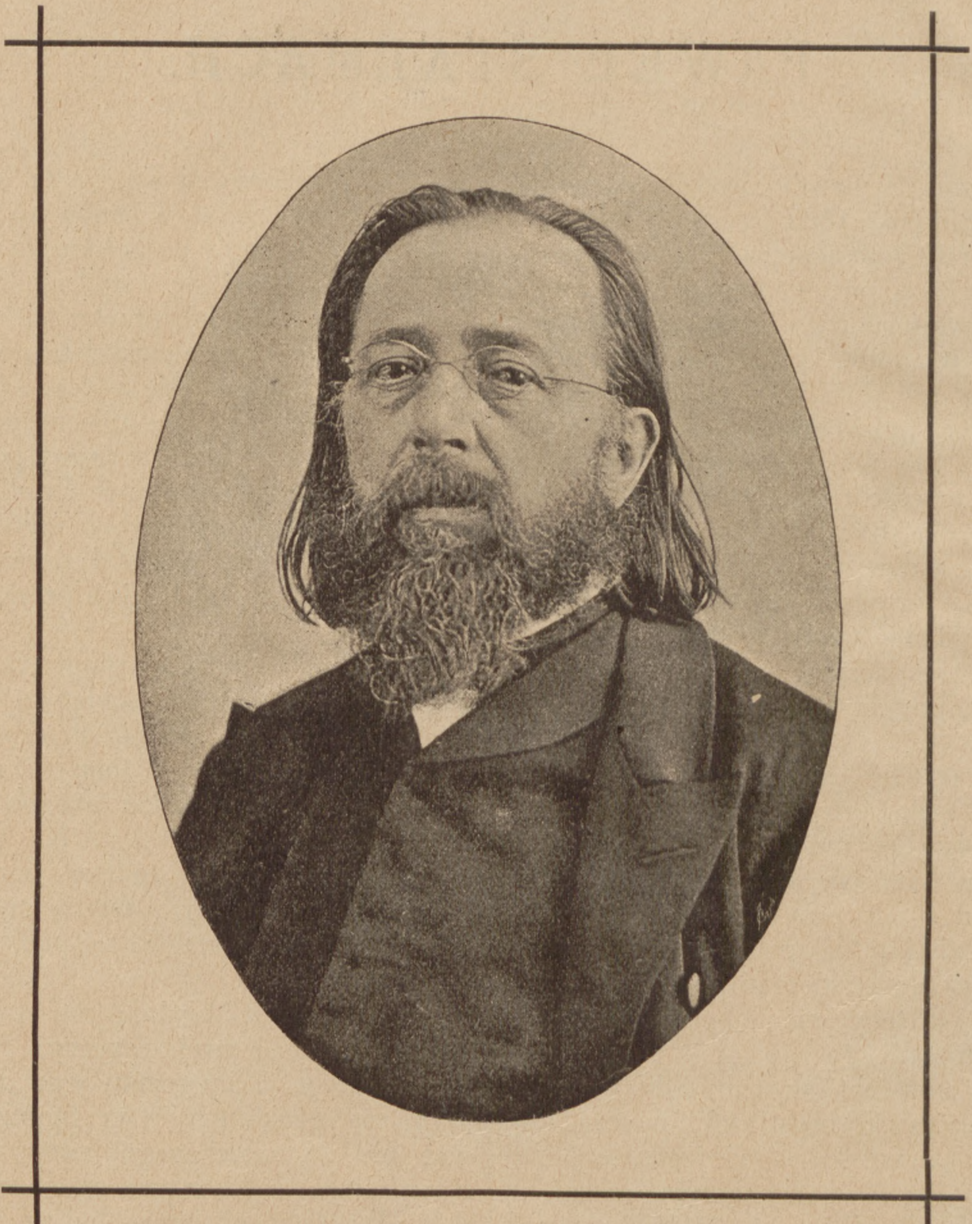
Nie zabrakło im przykrości z tego powodu; niemieccy nauczyciele przy gimnazyum wyśmiewali się z »zapaleńców.« Ale to nietylko ich nie zniechęciło, ale jeszcze więcej zapaliło do mowy polskiej.

Najgorliwszy z nich był Paweł Stalmach; jak pierwszy ożył w miłości do polskiej mowy, tak pozostał zawsze najżywszy, stając się dla innych przykładem budującym.

Po ukończeniu nauk gimnazyalnych, udał się Stalmach na akademią, gdzie swobodniej jeszcze mógł się zajmować tem, co ukochał i w innych miłość wszczepiać. Akademickie lata nie łatwo było Stalmachowi przeżyć, bo zasiłku od rodziców prawie żadnego nie miał i przepychać się było trzeba groszem, zapracowanym przez udzielanie lekcyi prywatnych.

Ucząc się w Wiedniu, nie spuszczał Stalmach oka z swej ojczyzny, Szląska austryackiego, a im rozum jego dojrzalszym się stawał, tem serce litościwszem nad niedolą ukochanego swego ludu. Smutnie tam było w owe czasy na Szląsku. Wszyscy, co ponad lud się wzbili, poniemczeli, choć polskiego ludu synami byli. Wszystko, co było górą, niemieckie było, a tylko dołem roiło się od tysięcy biednego ludu, który, choć ucissiany, prześladowany i przykładem własnych dzieci psuty, przecie w swym prostym rozumie doskonale osądził, że gdy go Pan Bóg polskim stworzył, to na to, aby polskim pozostał, a niemiec-

kim się nie stawał. Ulitowało się tedy serce Stalmacha nad niedolą ludu i poznawszy, że ludowi oświaty i przewodników potrzeba, odstąpił od myśli zostania pastorem, który jedynie w swojej parafii działać może, a postanowił stać



PAWEŁ STALMACH.

się opiekunem i przewodnikiem całego ludu za pomocą pism, gazet, książek.

Przypadło to właśnie krótko przed rokiem 1848, w którym w Austryi nastała konstytucya a z nią wolność druku. Za pomocą kilku patryotów szląskich, wydał 6-go Maja 1848 roku pierwszy numer gazety, nazwanej »Tygodnikiem Cieszyńskim.« Stalmach pozostał jeszcze tymczasem w Wiedniu i ztamtąd pismo redagował. Wkrótce jednak przeniósł się do Cieszyna i jeszcze lat 24 nie mając, został redaktorem.

Być może, że u innych narodów redaktorzy miewają wygodne życie; redaktorzy polskich pism takiego życia nie mają. Ich życie jest ciągłą walką, ciągłem bojowaniem, ciągłą pracą, przepełnioną nieraz tak gorzkiemi chwilami, iż wielkiej stałości charakteru i wielkiej

miłości do sprawy, do ludu potrzeba, ażeby przetrwać i wytrwać.

Wzorem stałości charakteru i wielkiej miłości do sprawy swego ludu, był Paweł Stalmach. Pismo Stalmacha znalazło bardzo wielu nieprzyjaciół a najmocniejszym z nich był rząd austryacki, który w owe czasy jeszcze nie umiał oddawać narodom, pod jego panowaniem będącym, tego, »co im się należało.« Posypały się liczne kary na Stalmacha a że abonentów było mało, przeto nieraz bieda wielka zamieszkała u niego. W r. 1851 zaś zakazał mu rząd, posyłać »Tygodnik« do Galicyi, przez co jeszcze więcej abonentów ubyło.

Stalmach jednak nie stracił ducha, a że jako redaktor umiał być zgrabnym, więc zmienił tytuł swej gazety; z »Tygodnika« zrobił »Gwiazdkę Cieszyńską« i powiedział: »Tygodnik« zakazaliście, ale »Gwiazdki« nie, więc »Gwiazdka« ma wolny wstęp do Galicyi.«

Gdy rząd spostrzegł, że Stalmach w ten sposób szyki mu pokrzyżował, zaczął z innej strony psuć to, co Stalmach zbudował. W 1848 roku założył on był w Cieszynie publiczną czytelnią ludową czyli polski związek ludowy, w którym bywały odczyty, rozprawy i gdzie też dużo pism polskich było wyłożonych do czytania. Rząd zamknął teraz ową czytelnią, książki zabrał, związek rozwiązał.

Był to wielki cios dla rozbudzającego się ducha polskiego na Szląsku; wielu straciło odwagę i otuchę do dalszej pracy, tylko Stalmach jej nie stracił i powiedziawszy sobie: »Przyjdzie czas, na nowo odbudujemy«, pisał gazetę a na dobro ludu działał.

I czas przyszedł. Stósunki polityczne Austryi zmusiły rząd do zmiany systemu i w roku 1859 poddani monarchii odetchnęli swobodniej. Stalmach w tej chwili czytelnią na nowo odbudował. Sypnęły się znowu procesy na niego i znaczne kary, ale z łaską Bożą Stalmach przetrwał wszystko i wśród tego prześladowania wypracował plan do nowego dzieła.

Młodzież, to przyszłość narodu! tak sobie mawiał. Dla dobra tej młodzieży założył z ks. Ignacym Świeżym i innymi ludźmi dobrej woli, a tego samego, co on przekonania, towarzystwo pomocy naukowej dla Szląska austryackiego. Było to w roku 1872. Dziś majątek tegoż towarzystwa wynosi blisko 14 tysięcy złotych reńskich. Liczne grono młodzieży szląskiej kształci się po gimnazyach, seminaryach i akademiach za pieniądze towarzystwa.

W tym samym prawie czasie założył Stalmach związek szląskich Katolików. Jestto stowarzyszenie polityczne, w którem zajmują się sprawami publicznemi i radzą, jakby sprawy te tak kierować, iżby z tego była korzyść dla ludu katolickiego i polskiego.

Nie zapomniał też Stalmach o podniesieniu bytu materyalnego swych ziomków. Ponieważ ci są przeważnie rólnikami, przeto założył towarzystwo rolnicze dla księstwa Cieszyńskiego.

Ostatniem jego dziełem było towarzystwo, zwane »Macierzą szkólną.« Ta Macierz miała zebrać fundusz w celu zbudowania gimnazyum, gdzieby wykładowym językiem był język polski. Towarzystwo to ma do dziś 30 tysięcy guldenów majątku.

Oprócz pisania gazety i starania się o tak wielkie dzieła, znalazł Stalmach jeszcze czas do pisania książek pożytecznych, jak: »Księgi rodu Słowiańskiego,« »Cieszymir,« »Zbiór pieśni szląskich« i wiele innych.

Takie zasługi Stalmacha około sprawy polskiej na Szląsku zjednały mu ogólny szacunek i miłość u wszystkich Polaków. W r. 1873, gdy »Gwiazdka Cieszyńska« 25-letni jubileusz swego istnienia obchodziła, ofiarowano mu książkę pamiątkową p. t. »Wisła,« która się w wielu tysiącach egzemplarzy rozeszła i nieco go zapomogła.

Trzeba bowiem pamiętać, że ten człowiek, przez którego ręce tak liczne tysiące rozmaitego grosza przechodziły, który tyle pieniędzy sam poświęcił sprawie, — biednym był i biednym pozostał. I to jest dowodem wielkiej zacności i stałości jego charakteru.



WNĘTRZE CHATY CHŁOPSKIEJ NA UKRAINIE. (Zob. objaśnienia rycin na str. 80.)

Na początku napisaliśmy, że Stalmach urodził się protestantem i protestanckim pastorem chciał zostać. A mimo to założył związek katolików szląskich i inne stowarzyszenia, mniej lub więcej dla katolickiego ludu przeznaczone. Stalmach był protestantem aż do śmierci, ale jak przez całe życie, prawdy we wszystkiem szukał i bronił, tak też przez całe życie szukał owej jedynej, rzeczywistej prawdy względem zbawienia duszy. I znalazł ją w jedynie prawdziwym i świętym kościele katolickiem; na łożu śmiertelnem został katolikiem. »Ja chcę umrzeć katolikiem!« — tak odezwał się do żony, gdy czuł, że ostatnia chwila nadchodzi. Gazety niemieckie, pisząc o zgonie jego, powiedziały tak: »Im więcej Stalmach zajmował się obroną polskości, tem więcej skłaniał się do katolicyzmu.« Jakież to dla nas Polaków szczytne świadectwo, że Niemcy polskość uznali jako źródło katolicyzmu przy Stalmachu! Niech nam to wszystkim będzie zachętą, abyśmy się stawali coraz doskonalszymi Katolikami i Polakami. Smierć Stalmacha nastąpiła 15 Listopada 1891.

Młodzieży polska, a mianowicie górnoszląska, naśladuj młodzieńca Stalmacha. Patrz, jak on to z własnej chęci polskiej mowy się uczył, jak się jej nie wstydził, lecz raczej pysznił tem, że był Polakiem; nie dbał o to, że głupi ludzie śmiali się z niego. Trzymał się prawa Boskiego a na ludzi nie zważał. Dla tego, że tak mowę swoję ukochał, czci go dziś cały naród polski a potomni będą wspominać o nim, jako o wskrzeszycielu ducha polskiego na Szląsku austryackim. Niech młodzież nasza też tak postępuje, jak Stalmach, aby wyrosła na przewodników i obrońców swojego ludu, jakim był Stalmach, a nie zdradziła sprawy swojego ludu!

My zaś wszyscy starsi, weźmy sobie za hasło te same słowa, które były niejako hasłem całego życia Stalmacha:

I zaklinam, niech żywi nie tracą nadzieji,
A przed ludem niech niosą oświaty kaganiec.

Bądźmy żywi, jak żywym był Stalmach; nie traćmy nadzieji, jak jej nigdy nie stracił Stalmach; nieśmy przed ludem oświaty kaganiec, jak go zawsze nosił Stalmach!

* * *

Takiemu mężowi słusznie się należy pomnik na znak wdzięczności ze strony rodaków i to wszystkich rodaków, gdziebądź oni mieszkają, bo »Gwiazdkę Cieszyńską« czytywano dawniej, gdy jeszcze mało pism polskich było, nietylko na Szląsku austryackim, ale także na naszym Szląsku, w Galicyi, Poznańskiem i Prusach Zachodnich. Prosimy tedy o łaskawe datki na pomnik Stalmacha w Cieszynie. Można je przesyłać do redakcyi »Światła« w Bytomiu, albo na ręce księdza posła Ignacego Świeżego w Cieszynie (Teschen).

UŁAN.

Pada drobny deszczyk, bardzo drobny, prawie niewidzialny, jak gdyby tryskający z olbrzymiego rozpylacza, naciskanego tam w górze ręką olbrzymią.

Niebo szare. Drzewa stoją bezlistne. Czarne błoto pokrywa bruk i chodniki. Przechodnie poślizgują się, konie utykują, koła suną, jak po lodzie. Przejmujące, grudniowe zimno szczypie i kłuje.

A jednak, mimo deszczu i chłodu, na ulicy pełno ludzi. Tłum, śpieszący za interesami, mija się z tłumem, przechadzającym się powoli.

Na rogu ulicy stoi mały chłopiec. Ma lat dziesięć najwyżej. Ciemne, nieuczesane włosy spadają mu sztywnemi pasmami aż do samych brwi. Spodnie, kamizelka i kurtka, skrojone niezgrabnie ze starego aksamitu, niegdyś bronzowego, dziś popielatego koloru, za długie, za szerokie — »na wyrost«. Twarz ma porządnie umorusaną; jakiś powóz, prze-

jeżdżający tuż koło chodnika, upstrzył mu twarz w szare plany. Chłopak przesunął rękawem po twarzy i basta.

Oczy ma niebieskie, małe, żywe i łagodne.

Nazywa się Karol Frou. Ojciec jego jest przekupniem ulicznym. I on także.

Od kilku dni ojciec Frou puszcza w kurs nową zabawkę; jestto ułan drewniany, z nader rycerską miną, machający szablą, na galopującym koniu. Podczas gdy koń posuwa się na kółkach, szabla podnosi się, zniża, przebija niewidzialnych nieprzyjaciół, ścina im głowy, a ułan z wąsem najeżonym toczy groźnym wzrokiem.

Ojciec Frou sprzedaje ich mnóstwo, chodząc wzdłuż ulic.

Syna umieścił na rogu ulicy Taitbout, zawiesiwszy mu na szyi maleńki kramik, na którym stoi cały szwadron ułanów, połyskujących i groźnych.

Co rano chłopiec dostaje dwudziestu ułanów, a ułan kosztuje franka (czyli 80 fen.) Co wieczór wchodząc do mieszkania rodziców na szóstem piętrze, oddaje ojcu dwadzieścia franków, (czyli 16 marek) jako owoc całodziennej sprzedaży.

* * *

Stojąc na deszczu i chłodzie, Karolek drży cały.

Policzki, uszy i nos ma bardzo czerwone; małe skostniałe ręce wsunął aż do łokci w kieszenie od spodni.

I woła głosem dźwięcznym i melancholijnym:

— Ułany! Piękne ułany po jednym franku.

Tłum mija go obojętnie.

A Karolek powtarza regularnie swój zapraszający wykrzyknik, naśladując głos ojca.

Ale ojciec (wdowiec, były bronzownik, nie mając roboty, wziął się do sprzedaży, byle nie próżnować) umie zalecać swych ułanów dowcipnem słówkiem i tymi czysto paryskimi żartami, których prostota i dobroduszność zwraca uwagę i przyciąga kupujących.

Tymczasem mały Karolek jest smutny.

— Ułany! Piękne ułany po jednym franku!...

W głosie jego słychać łzy. Ale to nie z zimna. Przywykł do ostrego powietrza. I nie dla tego, ażeby był chory lub głodny; jest silny i ma dobrego ojca. Dla czego okiem zalęknionem, prawie z przestrachem spogląda, gdy zbliżają się do jego kramu dzieci rodziców bogatych znęconych zabawką?... A kiedy ułan znika, w zamian za monetę, schowaną do kieszeni, dla czego wargi jego drżą powstrzymywanem łkaniem, a wzrok zazdrosny i zrozpaczony, ściga szczęśliwe dziecko, unoszące pięknego ułana?

* * *

Tego dnia sprzedaż szła doskonale.

Już ma tylko jedną zabawkę, a dziewiętnaście franków w woreczku.

Prawie ocierając się o niego, przechodzi dziecko prowadzone przez matkę. Jest to maleńki chłopczyk, garbaty, z twarzyczką żółtą i zwiędłą. Idzie z trudnością, a ogromny garb wystaje mu nad plecami.

Chłopczyk jest w wieku Karola.

Choć nigdy z sobą nie bawili się razem, nigdy nie zamienili słowa, znają się jednak. Często się spotykali. Garbusek nazywa się Gaston Lambelly.

Matka jego bogata wdowa, zajmuje pierwsze piętro we własnym domu przy ulicy Akacyj, w tym samym domu, gdzie rodzice Karolka mieszkają.

Przechodząc obok Karola, Gaston zatrzymał się.

Poznał przekupnia i uśmiechnął się, podrawiając go skinieniem głowy. Nagle spostrzegł ostatnią zabawkę, stojącą na kramiku.

— Och! jaki piękny ułan! mamo, jaki piękny ułan!

Jego oczy, otoczone ciemną obwódką, oczy chorego skazane na to, by się zamknąć niedługo, powiększają się, a chuda, biała, jakby woskowa rączka zbliża się chciwie, chwyta ułana i wprawia w ruch sprężynę.

Koń wspina się, żołnierz podnosi szablę, ścina głowy, przeszywa piersi.

— Mamuniu, kup mi tego ułana, kup mi go...

— Ile kosztuje twój ułan moje dziecko? — pyta matka.

— Jednego franka, proszę pani.

— Oto masz.

Gaston zabrał zabawkę.

* * *

Na stoliczku nic już nie ma... Karolek spuszcza głowę... Wargi mu się zaciskają... powstrzymuje się z całych sił; chciałby nie płakać, ale nie może się powstrzymać... Łkania wyrywają się mimowoli. Czołem dotyka prawie swego pustego stolika, trzymając ciągle ręce wciśnięte w kieszenie;

— Och! och! — łka biedny, trzęsąc się cały.

Gaston go usłyszał, odwrócił się i pociągnął matkę ku małemu przekupniowi.

— Czego ty płaczesz, braciszku? — mówi po przyjacielsku, bo wszystkie dzieci są braćmi, — czy ci co złego zrobiono?

Mały łka, nie odpowiada, nie może.

Kaleka nalega:

— No, powiedz, czego płaczesz?

Karol ociera oczy, przesuwając rękawem po twarzy. Łzy mięszają się z plamami błota i na wzburzonej twarzy chłopca ukazują się szare smugi, idące od oczu aż do uszu.

Pomiędzy wybuchami płaczu chłopiec tłómaczy się.

— Ja nie płaczę... nikt mi nic złego nie zrobił... Ja wcale nie płaczę... tylko moi ułani... moi ułani...

— Jakto, czyż ci nie zapłacono za twoich ułanów?

— Tak, ale ja ich tak kocham... tacy ładni... kiedy ich mam wszystkich przed sobą... przypatruję się im... to tak przyjemnie, ale nie śmiem ruszyć... ojciec mi zakazał... A teraz, kiedy już nie mam żadnego... to płaczę... takbym chciał mieć jednego... dla siebie, tylko dla siebie...

— Nie prosiłeś ojca?

— Tak, ale ojciec nie chce. To drogo kosztuje...

Garbusek patrzy na przekupnia oczyma pełnemi słodyczy i zdziwienia.

— Więcby ci to sprawiło wielką przyjemność? — pyta Gaston.

— Tak — mówi Karol, szlochając.

Gastonek podaje mu zabawkę.

— Bierz, ja ci daję... zatrzymaj franka i weź zabawkę.

Karolek nie wierzy własnym uszom, nie, on nie śmie temu wierzyć. Wyciągnął do połowy ręce, rozsunął palce, usta rozszerzyły mu się w uśmiechu, ale jeszcze wątpi i czeka.

Garbusek stawia na stoliku swego ułana.

— Nieprawdaż mamo, zgadzasz się?

— Z pewnością, moje dziecko — mówi wzruszona matka.

I pani Lembelly wraz z małym garbuskiem znika w tłumie.

* * *

Karol wraca do domu, jego rachunek jest w porządku. Miał rano dwudziestu ułanów. Wieczorem przyniósł dwadzieścia franków.

Zabawkę schował do kieszeni. Wieczorem bawił się nią. I rano przed wyjściem także. Wychodząc, wziął ją ze sobą, z obawy by jej ojciec nie znalazł i nie kazał sprzedać.

I tak było codzień przez cały grudzień.

Ale teraz mały przekupień jest wesoły. A głos jego, choć zawsze wątły, nie brzmi już smutkiem, gdy woła:

»Ułany! Piękne ułany po jednym franku!«

* * *

Upłynęły dwa miesiące. Mały przekupień nie widział garbuska, ale piękny ułan zawsze był jego największą uciechą.

Pewnego dnia usłyszał jak ojciec mówił:

»Gaston Lambelly, syn właścicielki, jest bardzo chory.«

Karolowi ścisnęło się serce, grube łzy popłynęły mu z oczu.

We dwa dni później ojciec powiedział:

— Gaston Lambelly, syn właścicielki, umarł.

Karolek pobiegł do izdebki, w której sypiał, nakrył się kołdrą na głowę i płakał. Płakał, nie wiedząc czego. Zasnął we łzach i jeszcze we śnie płakał.

* * *

We dwa dni później nad drzwiami domu wisiała czarna tablica ze srebrnemi literami G. L.

Pod wieńcami z kwiatów, pomiędzy płonącemi świecami stała maleńka trumienka, jak dla pięcioletniego dziecka.

Dużo przyjaciół szło za trumienką. A zdala, po za orszakiem, w aksamitnem ubranku, bardziej roztargniony niż zazwyczaj, szedł Karol Frou.

Niebo było szare i zasępione.

Chwilami padał śnieg roztopiony. Wiatr silny rzucał w twarz ten deszcz lodowy. Doprawdy nie wesoło było.

Karolek nie śmie wejść do kościoła.

Krążył po ulicach oczekując i złączył się z orszakiem pogrzebowym, gdy kierował się w stronę cmentarza.

Trzymał się zdaleka, gdy spuszczano trumienkę. Wstydził się, że tu przyszedł pokryjomu, jak gdyby popełnił coś złego. Unikał stróżów, bojąc się, aby go nie wypędzili.

Widział powracających panów i panią w żałobie; były tam i dzieci, przyjaciele garbuska. Niektóre miały oczy czerwone. Gdy już nikogo nie było przy grobie, kiedy mały garbusek został już sam, opuszczony w zimnej i wilgotnej ziemi, Karolek zbliżył się nieśmiało i obejrzał się w około. Był sam.

Wtedy ostrożnie z czułością, z głębokiej kieszeni aksamitnych spodni wyjął swego drewnianego ułana.

Popatrzył nań chwilę, nakręcił sprężynę, po raz ostatni koń pogalopował, szabla ścinała głowy i ćwiertowała strwożonych nieprzyjaciół.

Karolek pocałował go...

Potem leciutko położył zabawkę wśród wieńców i kwiatów na grobie tego, który mu ją niegdyś podarował....

Juliusz Mary.

SKARBY ZIEMI.

Z wzrastającym wciąż przemysłem nabiera także wszystko, co się tyczy świata podziemnego min i kopalń, dostarczających nam dziś niezbędnych zupełnie kruszców i węgli, z każdym dniem co raz większego znaczenia. Sprawa ta nie zajmuje tylko górników i ludzi, żyjących z tego, co im nieprzebrane prawie skarby ziemi dostarczają; zajęła ona także umysły badaczów przyrody i stósunków ludzkich, jak i w ogóle ludzi, których dola i niedola bliźnich obchodzi. Wiele też już o tych sprawach napisano ciekawych rozpraw i książek, a jedne ciekawsze od drugich, pomiędzy któremi w ostatnim czasie nabyła rozgłosu książka, napisana przez pewnego Francuza, nazwiskiem Couriot (wymawia się Kurio), jako owoc długoletniej pracy. Podaje on tyle w niej zajmujących liczb, opartych na ścisłych badaniach, że, zdaniem naszem, warto, ażeby i nasi czytelnicy z główniejszem ich zestawieniem się zapoznali.

Zastrzegając się z góry, że obliczenie ilości kruszców i węgla nie da się nigdy zupełnie dokładnie podać, wyrachował badacz francuski wartość we wszystkich kopalniach i minach świata wydobytych przez jeden rok produktów na 9 miliardów franków. Frank znaczy 80 fenygów a miliard równa się tysiącowi milionów, zatem w niemieckiej monecie przedstawia to sumę 7 tysięcy 200 milionów marek. W sumie tej nie zajmuje wcale, jakby się spodziewać można, złoto i srebro pierwszego miejsca; wartość szlachetnych tych metali wynosi raczej tylko siódmą część tego, co ludzie rocznie z łona ziemi wydobywają. Lwia część z tych ogromnych sum przypada węglowi w udziale, który też

słusznie ktoś nazwał »czarnym dyamentem.« Tych zużywa się bowiem rocznie za 3 i pół miliarda franków czyli 2 tysiące 800 milionów marek. Na drugiem jak złoto i srebro ze wszystkich min świata. Na czele zaś wszystkich narodów pod względem zysku z węgla stoi Anglia, której kopalnie węgla rocznie



ZWIERZĘTA PODBIEGUNOWE. (Zob. obj. rycin na str. 80.)

miejscu stoi żelazo, którego udział wynosi półtora miliarda franków. Węgiel przynosi ludzkości w ogóle co do wartości pieniężnej trzy razy tak wielki zysk, jeden miliard franków przynoszą i która z tej ogromnej masy trzy czwarte sama spotrzebuje, sprzedając po za granice kraju tylko za 250 milionów franków.

Wobec tych ogromnych liczb mimo woli nasuwa się pytanie, na jak długo zapasy węgla w ziemi starczą, choćby się tylko przyjęło, że ilość wydobywanych rocznie węgli pozostanie rokrocznie ta sama. O ile dotąd stwierdzić było można przez odpowiednie poszukiwania, wynosi obszar ziemi, w której się węgiel znajduje, w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki 490 tysięcy 700 kwadratowych metrów, czyli więcej, niż we wszystkich innych krajach razem wziąwszy; w Anglii 33 tysiące kwadratowych metrów, w Niemczech 31 tysięcy, w Rosyi 28 tysięcy 300 i wreszcie we Francyi 5 tysięcy 581. Jeszcze rzadziej niż we Francyi, napotyka się w Austryi na węgle.

Liczby te, jak już u góry wspomnieliśmy, odpowiadają tylko w przybliżeniu prawdzie, a przytem także wiedzieć należy, że dotąd jest jeszcze wiele miejsc, gdzie się węgiel znajduje, gdzie go jednak dotąd nie kopano. Francya na przykład posiada w Azyi kraj, zwany Kochinchina, i tam myśli znaleść taką obfitość węgla, że pod tym względem kiedyś jeszcze jedno z pierwszych miejsc zajmie i że się jej powrócą koszta i ofiary, które dla zdobycia i utrzymania tego kraju dotąd poniosła.

Co do złota, to oszacował Kurio całą jego zdobycz w roku 1888 na całej ziemi na 549 i pół miliona franków, a za rok 1889 wedle zdania Anglików na 20 milionów wyżej. Dotąd wciąż jeszcze zajmuje Kalifornia w dostarczaniu złota pierwsze miejsce, bo w ogóle Ameryka w złoto obfituje. W rzędzie bowiem dalszym stoją po sobie jako złotodajne Kolumbia, Stany Zjednoczone, Meksyk, Wenezuela, Brazylia, Argentyna i Kanada, same państwa amerykańskie. Dopiero potem z koleji Australia i Indye nadchodzą, dostarczające razem złota za 4 miliony franków rocznie. Państwo Transvaal w Południowej Afryce wprawdzie niedawno dopiero zaczęło dowozić złoto na targi europejskie, lecz już teraz zysk ztąd ma znaczny i spodziewać się należy, że z czasem będzie miało jeszcze o wiele znaczniejszy.

Gdzie jest zysk, jest też i ofiara, bo tak zawsze bywało i jest, że darmo nie ma ani kawałka chleba, a tem mniej takich skarbów. Kopalnie pochłaniają rok rocznie mnóstwo ludzi, a iluż w nich traci zdrowie na zawsze! Pewna otucha przejmuje jednak czytelnika wywodów pana Kurio, kiedy się z jego książki dowie, że pod tym względem stósunki się bardzo w ostatnich czasach polepszyły. Przez 25 lat przypadała jedna śmierć w kopalniach skutkiem nieszczęścia na każde wydobyte 60 tysięcy 444 tony węgla (tona po 20 centnarów), podczas gdy teraz dopiero podwójna ilość wydobytych węgli wymaga ofiary jednego życia ludzkiego. Ale i to jeszcze wielkie ofiary i trzeba sobie życzyć, aby mądrzy ludzie, co się wynalazkami trudnią, przemyśliwali nad sposobami, jakby życie górników najlepiej zabezpieczyć. Takie wynalazki lub urządzenia stokroć więcejby się przydały, niż różne inne, które nieraz »figlami« nazwać jedynie trzeba.

Podług tych zestawień, nie ma więc obawy, aby się wkrótce zapasy węgla wyczerpały, szczególniej w Anglii, o czem już przebąkiwano. Gdyby się zaś Anglia miała rzeczywiście znaleść niezadługo w tem położeniu, to przy dzisiejszych stósunkach handlowych, kolejowych i okrętowych, nie wiele to znaczy: będzie potem poprostu węgle sprowadzała z Ameryki, jak w danym razie i inne państwa, a tam zapasy węgla starczą jeszcze na tysiące lat!

A co potem będzie, — o to sobie głowy łamać nie potrzebujemy. Pozostawmy troskę o to, co potem nastąpi, Panu Bogu i Jego Opatrzności!

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Spieszył się jednak do balonu, bo mówił sobie, że gdy tu sidła nastawiono, to też pewnie i ludzie będą gdzie w pobliżu. Bez przypadku doszedł do celu, a gdy za pomocą liny beczułkę do balonu wciągniono, odczepił kotwicę i jak kot wdrapał się po linie.

Fergusson nadał wnet balonowi żywszy lot i w kilka godzin potem stanął balon nad miastem Kaseh.

Ryszard zapytał się teraz znowu przyjaciela, ile mil ulecieli, a ten spojrzawszy na kartę, odrzekł:

— Jedziemy dwa dni i jednę noc i w tym czasie ulecieliśmy 500 mil geograficznych.*) Dwaj podróżnicy, którzy lądem tę drogę odłożyli, potrzebowali $4\frac{1}{2}$ miesiąca do tego.

— A co? — zawołał Józef. — Czy to nie cacko, taki balon?

— Hm! — mruknął pan Ryszard.

III.

Podróżnicy krążyli przeszło pół dnia w powietrzu ponad miastem Kaseh w takiej wysokości, że z ziemi balonu dojrzeć nie było można. Ponieważ Fergusson wiedział z opisów podróżników, którzy lądem do tych stron doszli, że mieszkańcy jakkolwiek dzicy, uprzejmie Europejczyków przyjęli, postanowił spuścić się niżej i jeżeli pójdzie, odwiedzić miasto.

Nie trzeba sobie wyobrażać, ażeby to było miasto, jakie w Europie bywają; była to tylko osada z chałupami nędznemi, ale że tu wielu ludzi, a także i król szczepu mieszkał, i że z okolicy ludzie na targ tudotąd przychodzili, przeto było to niejako miasto.

Owego dnia odbywał się w niem właśnie targ. Podróżnicy, spuściwszy się z balonem niżej, spostrzegli wielki ruch w całej osadzie i gromady ludzi na targu. Józef, który był przeciwnikiem żydów, oglądał się, czy ich w tych dalekich stronach nie znajdzie, ale z zadowoleniem mógł sobie powiedzieć, że ich tam nie było.

— Przynajmniej jedno dobre ma to miasto, — mruknął przez zęby.

Naraz w mieście między dzikimi powstało zamięszanie, a w jednej chwili, rozpierzchli się wszyscy i pochowali w chałupach. Spostrzegli balon i nie wiedząc, za co go uważać, zlękli się i dali drapaka.

— Tchórze! — zawołał Józef.

— Czekajmy trochę — odrzekł Fergusson, — gdy z pierwszego strachu ochłoną, to znów się pokażą. Nie wiedząc, jakie względem nas mają zamiary, będziemy się z balonem trzymali w takiej wysokości, ażeby ich strzały dosięgnąć nas nie mogły.

Pewien czas bujał sobie tedy balon nad miastem, ale gdy z mieszkańców długo się nikt nie pokazywał, spuścił go Fergusson niżej, wyrzucił kotwicę i zahaczył ją o wielkie drzewo, między gałęziami.

Wtedy mieszkańcy zaczęli zwolna wychodzić z chałup, najprzód mężczyźni, potem kobiety i dzieci. Zrazu stali przy chałupach, potem śmielsi posunęli się bliżej ku balonowi, a gdy ich się zebrała wreszcie wielka gromada, postąpili jeszcze bliżej, aż w końcu podnieśli wielki krzyk, uderzali w dłonie i wyciągali je ku górze.

— Mieszkańcy mają nas za jakieś nadziemskie stworzenia — rzekł Fergusson. — Patrzcie i słuchajcie, jeden, zdaje się czarodziej czyli magik, wystąpił naprzód i prawi mowę.

Istotnie tak było, ale ów czarodziej prawił językiem, dla podróżników niezrozumiałym. Gdy skończył, Fergusson odrzekł mu kilka słów po arabsku, co widać na dole zrozumiano, bo zaraz tym językiem odpowiedziano.

Fergusson wymiarkował teraz z drugiej mowy czarodzieja, że balon uważają za księżyc, a ponieważ czczą księżyc jako bóstwo, więc uważają sobie za wielki

*) Mila geogr. równa się naszej mili (7500 m.)

zaszczyt, że to bóstwo wraz z trzema swoimi synami przyjechało ich odwiedzić.

Fergusson nie chcąc im psuć radości, odrzekł, że tak jest, jak mówią i wezwał, aby oznajmili swoje życzenia, które bóstwo spełnić przyrzeka.

Z dołu odpowiedziano, że król ich szczepu bardzo chory, więc proszą, aby bóstwo go wyleczyło.

— Co teraz? — zapytał Józef.

— Spuścimy się na ziemię i pójdziemy króla leczyć, — odrzekł z uśmiechem Fergusson. Pan Ryszard zostanie w balonie i będzie pilnował aparatu gazowego. Ty, Józefie, zejdziesz zemną na ziemię i zostaniesz przy końcu drabiny. Ja zaś pójdę do króla.

— Ejże, nie odważajcie się na takie niebezpieczeństwo — ostrzegał Ryszard.

Ale na słowa jego nie zważano i wszystko się stało, jak Fergusson nakazał.

Mieszkańcy przywitali Fergussona i Józefa z początku w milczeniu, a następnie okrzykami i śpiewem. Józef pozostał przy drabince, a Fergussona zaprowadzono z wielką wspaniałością do króla.

Do chałupy królewskiej trzeba było iść dość długo. Fergusson zabrał był z balonu pudełko z różnemi mocnemi esencyami i napojami, za pomocą których mógł chorego na chwilę orzeźwić. Gdy króla, leżącego na łożu zobaczył i zbadał, przekonał się, że zdrowie jego zmarnowane było głównie pijaństwem. I teraz król leżał, jak martwy. Sięgnął tedy Fergusson do pudełka z lekarstwami i wlał królowi do ust jakiegoś płynu tak silnego, że król się poruszył. Dzicy rozumieli, że to cudowny skutek i że król im wyzdrowieje.

Przy Józefie pozostała też spora gromada dzikich, a ponieważ go za syna księżycowego uznawali, więc kłaniali mu się i tańczyli w koło niego. On nie umiejąc gadać ich językiem, odpowiadał im giestami. Twarz przekrzywiał, kiwał głową, przekręcał ręce i nogi, a dzicy wszystkie ruchy za nim powtarzali. Józefa to wszystko bawiło i tylko mu było markotno, że nie miał towarzysza przy sobie, aby z nim rozmawiać żartobliwie o dzikich, cześć mu oddających. (D. c. n.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Wnętrze chaty chłopskiej na Ukrainie. Słowo Ukraina oznacza ziemię, leżącą na pograniczu państwa, u jego brzegu, u kraju. Polska miała takich ukrain kilka, a najważniejszą z nich była Ukraina Kijowska, to jest kraj po obu brzegach rzeki Dnepru. Z czasem stała się z rzeczownika: ukraina, nazwa własna Ukraina, jako określenie kraju naddnieprzańskiego. Kraj ten był polem krwawych walk, ztąd pełen jest wspomnień i pamiątek historycznych. Jestto kraj piękny a mający zupełnie inny wygląd, niż n. p. Szląsk, Poznańskie lub Prusy Zachodnie. Dziś podajemy w »Swietle« obrazek chaty chłopa ukraińskiego. W następnych numerach podamy więcej obrazków z Ukrainy a zarazem także więcej o niej wiadomości i prześliczny opis tej ziemi i jej mieszkańców, ułożony we wierszach przez Wincentego Pola.

Zwierzęta podbiegunowe. Podajemy obrazek z okolic podbiegunowych; są na nim zwierzęta, które w najzimniejszych stronach żyją. Trudno uwierzyć, aby w tych okolicach wiecznych śniegów i lodów mogło żyć takie mnóstwo istot rozmaitych, a jednak, począwszy od drobnego komara, aż do ogromnego niedźwiedzia białego, świat zwierzęcy ma licznych przedstawicieli w strefie podbiegunowej. Potężny niedźwiedź może być śmiało nazwany królem tych zwierząt, panuje on i na lądzie i na wodzie, tam gdzie lody puszczą; chociaż nie jest właściwie zaliczany do ziemnowodnych istot, pływa jednak dość zręcznie, aby łowić ryby. Zwierz ten ma stopy nadzwyczaj szerokie, nawet jak na niedźwiedzia, pod spodem miękką siercią porosłe, co mu ułatwia niezmiernie stąpanie po gładkim lodzie. Jakkolwiek drapieżny, niedźwiedź biały rzadko napada ludzi, chyba broniąc się od napaści, najczęściej stacza walkę z fokami, gdyż małe, tłuściutkie foki są jego ulubionym pokarmem. Rodzice zawzięcie bronią malców, zwykle nadaremnie, nieraz życiem przypłacają swoją troskliwość, zwłaszcza jeżeli walka odbywa się na lądzie, gdyż tu foki są bezsilne, uciekać nawet śpiesznie nie mogą.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Użytek soli.** Jeżeli po długiem staniu bolą nogi lub są zmęczone, wielką można uczuć ulgę, wymoczywszy je w wodzie solnej. Na garniec wody bieże się garść soli. Woda powinna być jak najgorętszą, byleby tylko nie parzyła. Skoro woda staje się chłodniejszą, należy szybko trzeć nogi ręcznikiem.

Jako proszek na zęby sól jest najlepszą. Utrzymuje zęby w czystości, a dziąsła w zdrowiu.

Po wyrwaniu zęba wypłukać należy usta dobrze wodą ze solą. Uchroni to szczękę przed skutkami zaziębienia.

Zwilżona sól usunie brud z filiżanek i podstawek, które się osadziły z herbaty i niedbałego wymycia.

Mosiężne przedmioty bardzo pięknie oczyszczają się solą z octem.

Sól domięszana do wapna do bielenia czyni bielenie trwalszem.

— **Pszczoły zamiast lekarstwa.** W miasteczku Minster, w Alzacyi, słynącem z hodowli pszczół, stwierdzono wypadek wyleczenia się od choroby reumatycznej dzięki ukąszeniom przez pszczoły. Do jednego z pszczelarzy miejscowych zjawił się jakiś człowiek, cierpiący od lat kilku na reumatyzm w obu rękach i prosił o przystawienie sobie kilku pszczół na ramionach i dłoniach, a kilka dni później powrócił tenże człowiek i pokazywał jak najzdrowsze ręce. Opowiadał on, że w początku ręce mu spuchły od ukąszeń tak, że nie był w możności zdjąć ubrania, po trzech dniach dopiero puchlizna ustąpiła, a z nią i reumatyzm. Doktor też Trek w Wiedniu oddawna już stósuje ukąszenie pszczół jako lekarstwo od reumatyzmu. W 173 wypadkach zastósował on 3 tysiące ukąszeń, a skutki onych mają być zadziwiające, gdyż uważani nawet za nieuleczalnych przychodzili do zdrowia.

— **Podłoga z cegieł nasyconych smołą.** Usilnie zalecane jest w ostatnich czasach układanie podłóg w warsztatach, składach itp. pomieszczeniach z cegieł, nasyconych smołą. Podłogi takie odznaczają się wielką trwałością, a nadto zupełnie nie przepuszczają wody. Do tego zdatna jest każda cegła, byle tylko była dostatecznie wypalona i dobrze przed nasycaniem wysuszona, gdyż źle wysuszona łatwo się kruszy. Takie cegły mocno ogrzane wrzuca się na kilka godzin do wrzącej smoły z węgli kamiennych i po wyjęciu, można natychmiast układać podłogi. Cegły tak przygotowane zdatne są również do wykładania rynsztoków, ścieków itp.

— **Wyniszczenie szczurów.** Beczka lub ceber głęboki stawia się na miejscu odwiedzane przez szczury. Beczka przykrywa się mocno grubą papą, postawi się przy beczce deska, aby szczury mogły po niej wchodzić do góry i kładzie się na papę jakikolwiek żer, który szczury lubią np. stary ser. Gdy szczury przez kilka nocy pożarły ser, napełnia się beczka o tyle wodą, aby cegła, na wysoki kant na dnie beczki stojąca, cokolwiek ponad wodę wystawała. W papie wykrawa się kwadrat lecz nieprzerzyna się wszystkich 4 stron zupełnie, tylko o tyle, aby kwadrat od ciężaru szczura się zginał na dół, a szczur wpadał do wody. Gdy szczur skoczy na kawałek sera, który leży na owem kwadracie papy, wpadnie do wody i będzie się ratował na cegłę. Następnie wpadające szczury będą się zaciecie ubiegać o miejsce ratunkowe na cegle. Nazajutrz zobaczymy wiele szczurów potopionych we wodzie a tylko jednego żywego na cegle, którego łatwo będzie zabić.

Z ogrodownictwa.

3. Ogród warzywny

(Ciąg dalszy.)

Jeśli okoliczności na to pozwalają, wówczas założenie ciepłego rozsadnika będzie również korzystnem. W tym celu wybiera się z grzędy ziemia na głębokość jednej stopy i w tak utworzony dół nakłada się takiejże grubości warstwa suchych liści pomięszanych ze świeżym gnojem końskim. Skoro się ta masa nieco rozgrzeje, trzeba ją mocno udeptać i nasypać na nią dobrej ogrodowej ziemi na grubość 15 do 20 centymetrów (6 do 8 cali); na tak przygotowaną ziemię wysiewa się nasienie.

Jeżeli taki ciepły rozsadnik zawczasu będzie przygotowany, zasiew może nastąpić już w pierwszej połowie Marca. Później zaś, można w takiej skrzyni hodować ogórki albo melony.

Przesadzanie roślin na grunt powinno się odbywać z wszelką ostrożnością; najprzód trzeba je starannie z gruntu wydobyć, aby nie pourywać korzonków, a potem je tak samo do ziemi przesadzić, pilnując aby się korzonki nie pozaginały. Długie główne (serdeczne) korzenie trzeba nieco przyciąć, gdyż przez to pobudza się roślinę do wydawania bocznych korzeni. Jeśli przesadzamy rośliny wyhodowane we własnym ogrodzie, wówczas robota idzie łatwo i pospiesznie. W razie sprowadzenia sadzonek z daleka, należy je upakować w wilgotnym mchu, dla zapobieżenia wyschnięciu włókienek korzeniowych na wietrze i słońcu.

Odległość, w jakiej rośliny mają być sadzone, zależy od ich gatunku. Często pomiędzy roślinami, stanowiącemi główny przedmiot uprawy, sadzą się inne, naprzykład sałata, dla użytkowania pozostałego wolnego miejsca. Lecz takie dodatkowe rośliny nie powinny w niczem zawadzać głównej roślinie i w porę być usunięte.

Mocne polanie wodą przesadzonych roślin, zwłaszcza podczas suchej pogody, jest koniecznem. Najlepiej jest przesadzać rośliny w dzień wilgotny, pochmurny, albo zaraz po rzęsistym deszczu.

Dalsze pielęgnowanie warzyw polega na oczyszczaniu ich od chwastów, które bujnym swym wzrostem odbierają pokarm roślinom uprawnym i zagłuszają

je. Okopywanie i obsypywanie roślin następuje jednocześnie z opielaniem. Podlewanie w ogóle dla wszystkich warzyw jest pożyteczne, a w czasie suszy, niezbędne. Bardzo jest dobrze niektóre rośliny, jak kapustę, kalafiory, selery i t. p. w czasie deszczu albo zaraz po nim, podlewać ciekłym nawozem, co znakomicie wpływa na pobudzenie bujnego wzrostu tych roślin.

Przy tej sposobności należy nadmienić, że w ogrodownictwie, podobnie jak w rólnictwie, stósowne zmianowanie wielką odgrywa rolę. Ponieważ każdy grunt, pomimo nawożenia, przy ciągle powtarzanej uprawie pewnej rośliny na jednem i tem samem miejscu musi w końcu stać się uboższym w niezbędne dla roślin materye pożywne, zatem zmiana uprawianych roślin jest konieczną. Przez różny stopień wymagań roślin pod względem nawożenia takie zmianowanie znakomicie jest ułatwionem, gdyż po silnie wyczerpujących grunt roślinach, przychodzą inne mniej wyczerpujące, a po nich w trzecim roku jeszcze inne, mniej pod tym względem wymagające, jak np. rośliny strączkowe i t. p.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości.

* **Lud w Armenii** wierzy, iż w pokoju chorego przebywają zawsze aniołowie, którzy, gdy chory umiera, zabierają jego duszę i niosą do nieba. Każdy, odwiedzający chorego, musi, wszedłszy do jego pokoju, wydobyć kilka tonów z bałalalki, instrumentu muzycznego, stojącego przy łóżku, a to dla rozrywki aniołów. Pokój winien być przybrany kosztownemi materyami, kobiercami, szalami, gdyż Aniołowie są przez pobyt w niebie nieco rozpieszczeni i wymagający. Trzeba im także podawać od czasu do czasu posiłek. Aniołowie nie potrzebują wprawdzie ziemskich rozkoszy, ale należy im okazać dobrą wolę. Armeńczycy obnoszą tedy po pokoju talerze z cukrem, ciastkami i owocami, składają w każdym rogu głęboki ukłon, a następnie sami zjadają słodycz.

* **Tresowane szczury.** W Paryżu pokazuje się obecnie p. Anatol Dourof z tresowanymi szczurami. Na odgłos fleciku, na którym gra p. Dourof, wybiegają tuziny tych zwierzątek różnej wielkości i sierści rozmaitej i wdrapują się na podwyższenie, na którego szczycie siedzi wielki czarny kot; ten zaś zamiast się rzucić na szczury, przeskakuje przez nie i nawet liże je dobrotliwie. Zaciekawiony tym niezwykłym przykładem tresowania zwierząt jeden z gazeciarzy odwiedził p. Dourof i dowiedział się od niego, że szczur jest zwierzęciem najłatwiejszem do obłaskawienia; byle tylko dobrze się z nim obchodzono, byle miał dobre pożywienie i muzykę, w przeciągu tygodnia można z niego zrobić najlepszego ucznia. P. Dourof twierdzi, iż w dwie godziny obłaskawi szczura najdzikszego: gdy zaczął naukę swoich czworonożnych pupilów nie trzymał ich w klatce, a wychodząc puszczał je także na wolność. Szczury włóczyły się przez cały dzień, wieczorem zaś, p. Dourof, powróciwszy do domu, brał flecik, a na jego odgłos »uczniowie« zbiegali się ze wszystkich stron, przyprowadzając nieraz ze sobą dzikie zupełnie szczury piwniczne lub kanałowe, z któremi zaprzyjaźniły się w ciągu dnia. Szczury p. Dourof'a potrafią służyć, robić wykrętasy na jego złożonej w pięść dłoni, a wszystkie ćwiczenia wykonywują z wielką zgranością i są nader posłuszne. P. Dourof mówi o swych »uczniach« z rozrzewnieniem niemal i jest do nich wielce przywiązany. W ciągu lata wszakże na granicy Hiszpani w Cerbere, przyprawiły go one o kłopot niemały. Pozostawił on szczury swoje w liczbie 230 w piętnastu skrzynkach, w których podróżowały, w kącie sali restauracyjnej, a sam z żoną udał się do ekspedycyi pakunków. W sali pełno było podróżnych. Naraz rozległy się ze wszystkich stron krzyki: »Szczury! szczury!« Panie omal nie mdlały z przerażenia, powstał powszechny zamęt, jedni uciekali z sali, inni wskakiwali na krzesła, a kelnerzy biegali na wszystkie strony, szukając kijów i broni. Na odgłos tej wrzawy pośpieszył p. Dourof do sali i spostrzegł swoich »uczniów« biegających po posadzce, wystraszonych krzykami; sprawcą zamięszania był trzyletni synek p. Dourof'a, który pozostawiony przy skrzynkach, otworzył je i wypuścił szczury. P. Dourof wyjął z kieszeni flecik, a szczury usłyszawszy znane dźwięki, zgromadziły się niezwłocznie dokoła swego mistrza, on zaś grając ciągle, zaprowadził je do skrzynek, do których same wyszły.

* **Policyanci bandytami.** Niesłychany, w swoim rodzaju może jedyny wypadek, zdarzył się w gubernii saratowskiej. Urzędnicy policyi, mianowicie pomocnicy dyrektora policyi w Saratowie, Łomakowski i Inglezi, na publicznej drodze napadli kupca Arkaniewa i odebrali mu 12000 rubli, które miał przy sobie. Sprawę tę rozpatrywał saratowski sąd karny i skazał obu stróżów moralności publicznej za rabunek na publicznej drodze, na wywiezienie na Sybir z pozbawieniem praw obywatelskich.

* **Walter Abbod Wood**, wynalazca maszyny do szycia, umarł w dniu 15 Lutego w Hoosick Falls, w stanie New-York, przeżywszy 76 lat. Od roku 1878 do 1882 Wood zasiadał w kongresie waszyngtońskim jako przedstawiciel okręgu, w którym zamieszkiwał. Prawie wszystkie rządy europejskie udzielały kolejno odznak honorowych wynalazcy tyle popularnej maszyny. Między innemi był Wood kawalerem francuskiej legii honorowej i austryackiego orderu Franciszka Józefa.

* **„Najważniejsza“** kobieta w Europie zmarła w tych dniach w 41 roku życia w Fraubringu pod Feldafing'iem, w Bawaryi. Nieboszczka, nazwiskiem Proebst, chorując na otłuszczenie, ważyła krótko przed śmiercią całe 5 centnarów. Przeniesienie zwłok zmarłej przedstawiało olbrzymie trudności. Z pierwszego piętra aż na dół należało ułożyć po-

most z desek, by w ten sposób zsunąć trumnę do sieni, zkąd znów wywieziono takową za pomocą podłożenia drewnianych walców. Zmarła, ogólnie szanowana niewiasta, cieszyła się do ostatniej chwili jak najlepszem zresztą zdrowiem.

* **Obecni władcy europejscy.** Pierwsze miejsce, co do lat i panowania zajmuje królowa Wiktorya, która na tronie angielskim zasiada już 54 lata, dalej ks. Ernest Sasko-Koburg lat 47, ks. Waldeck lat 46, cesarz Franciszek Józef lat 43. Najmłodszymi panującymi są małoletnia królowa niderlandzka Wilhelmina, król wirtemberski Wilhelm II. w. ks. Luksemburski i ks. Schwarzburg Lippe. Najstarszym co do lat jest Leon XIII (lat 80). Wyżej nad 70 mają: Ks. Schaumburg-Lippe, w. ks. Adolf Luksemburski, król duński Chrystyan II, ks. Ernest Sasko-Koburg, królowa Wiktorya i w. ks. Fryderyk Wilhelm Mecklemburg-Strelitz. Do młodszych należą cesarz Wilhelm II (lat 32), Karol I, król portugalski (lat 28), Aleksander I, król serbski (lat 16), królowa niderlandzka Wilhelmina (lat 11) i Alfons XIII, król hiszpański (lat 6). Liczbę państw samodzielnych powiększył niedawno Luksemburg po śmierci króla holenderskiego Wilhelma III.

ŻARTY.

W karczmie.

— E, e, Mośku, cuż to ty i mnie będzies mierzył osukanym litrem?

— Nie plećta głupstw, Wojczechu, bo sze bede gniwacz.

— A cy to nie widzę, że liter mo dno dubeltowe, jedno nizy, drugie wyzy.

— Aj waj grojse zache! wy tyz macie na wierzchu sukmane, a pod spodem kożuch, a bez tego bedziecze zawsze Wojczechem.

Wierny sługa.

Pan: Słuchaj Franciszku, brakuje mi cygar. Czy ty czasem ich nie bierzesz?

Służący: Jak pan może mnie o to posądzać! mam jeszcze z poprzedniej służby dwa pudełka.

Wygodnie.

Pan: Z utęsknieniem czekam na odpowiedź pani. Czy pani chce zostać moją żoną?

Bogata panna: Kiedy ja pana jeszcze tak mało znam! Czem pan właściwie jesteś?

Pan: Jeżeli pani moją żoną zostanie, to będę kapitalistą!

Lichwiarska arytmetyka.

Nauczyciel: Natan Halbgeld niech mi odpowie na następujące pytanie: Jeżeli twój ojciec pożyczy komu 1000 talarów z warunkiem, że mu dłużnik będzie spłacał tę sumę ratami po 250 talarów kwartalnie, to ile tenże dłużnik będzie winien za rok?

Uczeń: Tysiąc talarów.

Nauczyciel: Ale ty nie znasz wcale arytmetyki!

Uczeń: Ale znam mego ojca.

Dobry dentysta.

Przechodzeń z bólem zębów do przechodnia zdrowego:

— Panie dobrodzieju, gdzie tu mieszka dentysta, który rwie zęby bez bólu?

— Idź pan na prawo, a już na rogu ulicy usłyszysz wrzaski jego pacyentów.

Sędzia: Świadek zna dobrze oskarżonego?

Świadek: Jušci znam.

Sędzia: I utrzymujecie, że jest wdowcem?

Świadek: Bo jest.

Sędzia: A wiecie, co to wdowiec?

Świadek: Jakżeby nie... wdowiec to mąż wdowy.

Ktoś utrzymywał w towarzystwie, że słowo to wiatr.

— Protestuję! — odezwał się jegomość.

— Dlaczego?

— Bo gdyby tak było rzeczywiście, to moja żona wywiałaby nie tylko mnie, dzieci i służbę, ale cały dom i całe gospodarstwo, tyle wiatru by narobiła mnogością słów, które wypowie codziennie.

Jasiowi mama kupiła za ciasne buciki.

— Oj mamo! — woła Jaś — jak mnie but boli.

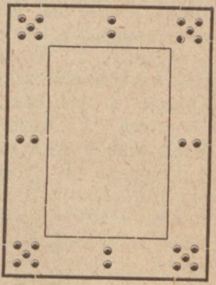
— No i jakże Ci się podoba, mój chłopcze w terminie? — pyta wuj swojego siostrzeńca.

— Tak samo jak w domu: tu bije ojciec, tam majster.

Rozwiązanie zagadek z nagrodami z Nr. I „Światła.“

Łamigłówka z zwierciadłem:

Ów sługa tak kazał drogie kamienie wprawić:



Zagadka:

Osioł w korabiu (albo też w raju) ryczał tak, że go wszyscy wówczas na świecie żyjący ludzie słyszeli.

Krzyż z podstawą:

M
I
C
S O K Ó Ł
I
E
W
N I L
N I C E A
H I S Z P A N

Rebus:

Wilk ostrzy zęby na owce.

Dobre rozwiązania wszystkich zagadek nadesłali:

T. Pestka z Czerska, H. Chojnicki z Chełmna, A. Dąbrowski z Hochlarmark (Westf.), J. Krasnowolski z Nowego, Krokowski z Montowa, A. Kruszka z Barcina, B. Majerski z Doroty, Fr. Niemier z Czmonia, J. Lazar z Brzesc, I. Garus z Kryr, W. Szramka z St. Kiszewy. K. Duffek z Wieszowy, Fr. Smoll z Kr. Huty, S. Charońska z Wielowsi, A. Gintrowicz z Opalenicy, E. Wochnik z Bytomia, S. Moczyńska z Meppen, W. Kajetaniak z Trzemeszna, J. Sarnowski z Człuchowa, J. Kucharski ze Śremu, H. Siwczyk z Starogliwic, T. Królik z T. Gór, J. Lipski z Brodnicy, J. Kalus z Chorzowa, P. Urbacki z M. Zimnic, M. Cichowski z Sumina, S. Brykczyńska z Ślezina, Fr. Cofała z Kuźnicy, A. Besler z Nowejwsi, T. Kiera z Srokowca, A. Ocelok z N. Hajduk, K. Zych z Niepołomic, Fr. Strzoda z Wierzchu, A. Lubecki z Białej, P. Śmiłowski z Laurahuty, Tadzio Stark z Oporowa, Fl. Wdowicka z Kościana, J. Musialik z Rozbarku, A. Morawska z Kotowiecka, J. Szusterkiewicz z Ponieca, P. Gajda z Bytomia, T. Parczewski z Belna, W Moderska z Milwauckee Wisc., J. Bukowski ze Żnina, M. Lubomski z W. Radowisk, T. Broda z Małej Dąbrówki, J. Hahuł z Brzezinki, C. Ry-

dlewski z Poznania, Kaźm. Graff z Hamer, Eufemia Zielke z Zielewa, A. Krenzel z Kemperowic, W. Spyra z Mokrego, A. Rybol z Rozbarku, J. Kowalski z Radlina, F. Lipowski z Brudzawy, Seweryna Wituska z Kłecka, R. Szumiński z Opalenicy, J. Karwat z Wichlec, J. Warzecha z Opola, A. Majewski z Ostrzeszowa, Katarzyna Konopa z Oburznia, J. Zolondek z Chorzowa, J. Kosmol z Zabrza, J. Maćkowiak z Kobylnicy, J. Zaremba z Pelplina, J. Niesłoń z Nowejwsi, St. Szałkowka z Kozłowa, F. Winkler z Król. Huty, S. Müller z Polka, Glasener z Trewiru, M. Sojka z Przechlebia, F. Wilczek z Małego Dobrzynia, F. Uliczka z Dziedzic, J. Szturmowski z Pelplina, A. Połomski z Braniewa, F. Lukaschkowitz z Chorzowa, C. Deręgowski ze Środy, A. Smełsz w Chur (Szwajcarya), M. Szafraniec z Chropaczowa, E. Pietruszka z Bytomia, Jewasinski z Krzyżkowa, A. Żmidziński z Michorzewa, P. Parketny z Kr. Huty, T. Matterne z Cziasna, T. Barski z Kunigundahuty, W. Sobkowski z Dopiewa, Ks. J. Charłampowicz z Starzysk, Sypniewski z Gaju Wielkiego, J. Jurczyk z Bytomia, W. Kostański z Kielczewa, T. Kolorz z Lipin, Marya Chrobok z Lendzin, J. Gaszczyk z Godullahuty, M. Grzenia z Świecia, P. Hochoł z Józefowca, S. Pietrek z Huty Piły, K. Tokarz z Rozbarku, T. Knopp z Dzieszowic, J. Rückert z Olesna, W. Noskiewicz z Arnswalde, T. Francke Polski Browieniec, M. Jordan Król. Huta, E. Janusz Polski Browieniec, Piotrowski Skarlin, B. Rack Rozbark, T. Dokupin Lipiny, J. Rogalski Chełmża, P. Dunajski w Swieciu, F. Chylla Friedenshuta, K. Kamienian Grotniki, J. Kokot Lipiny, F. Kowolik Chropaczów, W. Waszczewski Grudziądz, J. Nowok Chorzów, M. Fiałkowski Pelplin, J. Jakubiec Burowiec, W. Rurainski Chorzów, J. Spott Wieszowa, K. Sikorska Leszno, W. Drozd Sadzawka, A. Kiedrowski Wąbrzeźno, J. Knechtel z Słońska, J. Pakosz Bytom, A. Faber Paulsdorf, J. Tatkowski Łąka, J. Tomaszewska z Benic, T. Pisarek z Chropaczowa, J. Widera z N. Doroty, M. Mitulska ze Świecia, B. Kosznik z Pelplina, A. Kopaszewski z Pelplina, A. Lacheta z Maciowakrza, A. Gross z Łabęd, Kalewski z Dębnicy, I. Bomba z Sierakowa, A. Świerczyński z M. Dąbrówki, J. Jurczyński z Wełnowca, N. Kucharski z Kobylic, W. Mrochen z Nowejwsi, Al. Gojowczyk z N. Budkowic, T. Barski z Zawodzia, J. Osypka z Kat. Hołdy, P. Niedbała z Chorzowa, A. Stobrawa z Lipin, A. Ziob z Bytomia, A Śmigierski z Czerska, W. Opeldus z Michałkowic, K. Janke z Szarleja, W. Gontowski z Koźmina.

Dobre rozwiązanie niektórych zagadek nadesłali:

Czytelnia domowa w Łanczynie, Jan Neumann z Rudy, Fr. May z Orzesza, A. Wieczórkowski z M. Komorza, A. Kosmowski z Klinów, K. Kałka z Borsigwerku, L. Grywalski z Pacółtowa, W. Kierzynka z Śmiłowa, P. Macioszczyk z Kępna, B. Strzelczyk z Świętochlowic, K. Kalus z Zaborza-Poremby, F. Wroniecka z Kościana, A. Machnik z Siemianowic, Wiktorya Mandrek z Jaryszowa, A. Sieroń z Rudy, W. Nowak z Chorzowa, F. Jardanowski z Żegocina, J. Wittig z Kościana, F. Wawrzinek z Nowejwsi, Marya Reich z Pelplina, A. Ruda z Ornontowic, F. Spula z Chropaczowa, S. Hyla z Żelazna, N. Zakryś z Chojnic, St. Pohl z Sośnicy, A. Piechula z Lehmkuhle, J. Rückert z Olesna, A. Lewański z Gerresheim, T. Wellna z Świętochlowic, J. Rudzki z Łagiewnik, P Hachuł z Józefowic, T. Hanusek z Królowki, A. Smolka z Odry, A. Orzechowski z Hohenlohehütte, L. Buzalska z Zabartowa, S. Dutka z Mordarki, P. Wiaderek z N. Hajduk, S. Markowiak z Przysieki, J. Baron z Kłodnicy, Rydzkowski z G. Bislar, F. Arendt z dom. Cyguss, J. Kowoll z Lehmkuhle, W. Bernhard z Zawodzia, W. Kwapisz z Poznania, W. Pałek z Kielcza, A. Brachoczek z Bielszowic, Elżbieta Walter z Szedłowa, L. Mozdzien z Lehmkuhle, S. Myszka z Brzeźna, J. Rzędkowski z Świecia, F. Kraiczy z Sudoł, Marya Koś z Dolnych Hajduk, Fr. Kempski z Chełmiec, M. Nawrowski z Ostrowa, P. Pluciński z Kamienicy, A. Piontek z Rożdzienia, U. Barylski z Osielska, Matylda Bartoschik z Zaborza, J. Piecka z Miechowic, J. Baier z Starogrodu, J. Stanusch z Miechowic, P. Cuda z Wieszowy, B. Kasparski z Günnigfeld, T. Jachowski z Jarocina, S. Grześkowiak z Jaskółek, F. Nandzik z Głogówka, P. Gwóździk z Łagiewnik, J. Kura z Zaborza, J. Dąbrowski z Rozbarku, A. Mańka z Kochlowic, Fr. Aplik z Piekar, A. Giołbas z St. Rept, Fr. Leszczyna z Szobiszowic, P. Wróbel z Lipin, J. Kłosek z Zawodzia, Ig. Wojciechowski z Kruświcy, A. Jędrzejowski z Rudy, J. Łukaszkiewicz z Chorzowa, A. Kopietz z Zabrza, T. Piela ze Zaborza, Fr. Dakowski z Altessen, R. Jochimski ze Załęża, Fr. Dąbkowski z Zakurzewa, F. Grucza z Oraczy, K. Marek z Laurahuty, A. Fronczyk z Lehmkuhle, Br. Klimza z Trzyńca, J. Kołodziejczyk z Buchacza, Jan Badura z Rożdzienia, Kl. Fiebig z Trzemeszna, K. Korpak z Bajngowa, M. Skowrońska z Chełmży, R. Klos z Pruszcza, J. Hetschko z Miechowic, J. Strzoda z Kopaniny, J. Urbańczyk z N. Doroty, Fr. Knapik z Bytkowa, J. Heeda z Ligoty, F. Sobota z Przyszowic, Fr. Wozipiwo z Załęża, J. Grochla z W. Kotulina, A. Czornik z Bl Szarleju, Józef Olszowski z St. Rept, K. Heinze z Bożejowic, Fr. Mróz z Wielowsi, W. Nowak z Robakowa, K. Piecha z Zaborza, P. Macioszczyk z Kępna, J. Paprotny z Bytkowa, Paweł Dworowy z Doroty, J. Rzitka ze Załęża, J. Kastek z Wilhelminenhuty, P. Kegel z Wagrówca, M. Zborowski z Gniezna, J. Dyrda z Rojec, Postuchowski z Gniezna, A. Ciwiś z Wyrów, F. Grziwok z Ornontowic, F. Skórka z Rozbarku, W. Kutschok z Braubauerschaft, J. Reichel z Szarleja, P. Drzymala z Groszowic, J. Damski z Wojciechowa, J. Dawid z Oświęcima, J. Miłota z Bienkowic, J. Biskupski z Rogoźna, W. Kutko z Lipin, M. Łaszewska z Pogódek, Wiktorya Giemsa z Łoni, J. Friedrich z Zawodzia, W. Grzondziel z Agneshuty, J. Wietrzyński z Gniezna, M. Gałąnska z St. Gliwic, P. Paszek z N. Hajduk, A. Grzesiak z Jaworzna, S. Mittas z Gliwic, J. Mrowietz z Bykowiny, T. Wełna z Świętochlowic, W. Blaszczok z Jamm, A. Sztermer z Kirchlinde, M. Cegłowska z Kopaszewa, P. Dominitzky z Mysłowic, F. Dyla z Szczakowy, M. Kubiński z Kluczborka, P. i K. Pierzchalla z Michałkowic, K. Murek z Józefowca, Mężyński z Pszczyny, L. Watzlawik z Bikern, A. Osadnik z Ligoty, E. Sieg z Gniezna, J. Malczewski z Gławoszewa, T. Bromma z Chełmży, F. Jenderek z Kadłubca, M. Kasprowicz z Poznania, P. Kawurek z Giegowia, D. Schikowski z Rudy, P. Moczała z Botropu, F. Jokiel z Eintrachthuty, M. Hanuszkiewicz i J. Stoch z Chorzowa, A. Bugiel z Kłodnicy, J. Wowro z Bogucic, M. Zgryzka z G. Łagiewnik, K. Wilk z Król. Huty, T. Chojnacki z Barcina, L. Danyś z Yorktown (Ameryka), F. Grabietz z Januszkowic, J. Nowak z Miasteczka, W. Pelk z Dolki, F. Małek z Chorzowa, K. Siupka z Wirku(?), W. Lipinska z Pelplina, Pluszcz z Solarnii, W. Opeldus z Michałkowic, B. Mahamczyk z Rożdzienia, M. Kopeć z Załęża. J. Głowacki z Wierzchosławic, T. Szymik z Lehmkuhle, A. Goj z Siemianowic, J. Damski z Wojciechowa, K. Lange z Donersmarkhuty, M. Ziętak z Detroit (Ameryka), B. Kałkowska z Nowejwsi.

Nagrody (przez losowanie) odebrali:

1-szą nagrodę (oprawny Żywot P. Jezusa): p. A. Ziob z Bytomia.

2-gą nagrodę (Żywot P. Jezusa broszur): p. Kaźmirz Graff Hammer p. Wrocki (Pr. Zach.)

3 i 4 nagr. (książek za 3 m.): pp. C. Deręgowski ze Środy i Konrad Duffek z Wieszowy.

5, 6 i 7 nagr. (książek za 2 m.) pp. H. Siwczyk z Starogliwic, A. Żmidzinski z Michorzewa, T. Dokupin z Lipin.

8, 9 i 10 nagr. (książek za 1 m.): pp. Fr. Strzoda z Wierzchu, T. Stark z Oporowa, ks. J. Charłampowicz ze Starzysk (Gal.)

Nowe zagadki z nagrodami ogłosimy w przyszłym num. „Światła.“

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.